

W krainie brzoskwiń

Korespondencja własna z Węgier

To prawda, że Budapeszt należy do miast wyjątkowo pięknie położonych. Nie podobna również zaprzeczyć, że węgierskie tokaje i rizlingi są znakomite. Są to opinie powszechnie znane, potwierdzone spostrzeżeniami tysięcy naszych turystów, odwiedzających każdego lata krainę słynącą urokami swej stolicy i niezapomnianym pięknem Balatonu.

Co do mnie, niezbyt wiele miałem okazji poznawania budapeszteńskich zabytków, bądź smakowania węgierskiego wina. Przybyłem nad Dunaj w celu sprecyzowanym i dość przyziemnym: chciałem przyjrzeć się bliżej arkanom produkcyjno-organizacyjnym, dzięki którym węgierskie stoły obfitują w niedrogie, dobre na ogół jakościowo, owoce i warzywa.

Pierwsze konfrontacje wypadły szokująco, potem było już bardziej zwyczajnie, w miarę poznawania rozbitego trybu działania organów, parających się skupem i handlem „zieleniną”. Bo też na wstępie trafiałem do Szegedu, starego miasta nad Cisą, tuż nad jugosłowiańską granicą, gdzie akurat otworzyła podwoje jedyna w swoim rodzaju wystawa brzoskwiń. Urządza się ją co roku, mając na względzie doskonałość produkcji, przez gromadzenie okazów najwspanialszych odmian i premiowanie producentów sadowników (głównie spółdzielczych).

Fantastyczny aromat tysięcy brzoskwiń zielono-pasowych i żółto-czerwonych, wielkości nierzadko średnich pomarańczy (cztery na kilogram!), interesujące dane statystyczne, z których m. in. wynikało, iż w okolicy zaczęto planowo produkować te owoce dopiero w roku 1932 — wszystko to musi zafascynować przybysza.

Ale to była, rzecz można, odświeżająca szata węgierskiego rynku owocowo-warzywnego. Ta codzienna jest naturalnie nie tak okazała, choć w solidnym gatunku. Handel owocami i warzywami mają nasi „bratankowie” zorganizowani sprawnie, o czym najlepiej przekonują wypełnione sklepy i stragany, dysponujące produktami sadów i pól w niezłym wyborze od rana do wieczora, po niewysokich cenach.

W toku rozmów w węgierskim ministerstwie handlu wewnętrznego, zadałem następujące pytanie: — Jakimi środkami wpływa się u was na kierowników sklepów, by prowadzili oni sprzedaż bardzo tanich owoców i warzyw, a więc takich, którymi obrót przynosi personelowi minimalne korzyści? Znana jest na ogół niechęć ludzi handlu do parania się sprzedażą podobnego towaru...

Odpowiedź była charakterystyczna. Moi rozmówcy powołali się na odpowiednie zarządzenia, zgodnie z którymi kierownik sklepu musi

mieć te a te produkty w swej placówce, w przeciwnym wypadku może postradać posadę. Oto jeden z niebłahych tajników organizacyjnych sukcesów węgierskiego handlu. Po prostu przepisy są w pełni respektowane, ich omijanie jest nie do pomyslenia. Gwoli sprawiedliwości dodajmy jednak, iż Węgrzy nie zapomnieli zarazem o potrzebie nagrodzenia trudu ekspedientów owocowo-warzywnych branż; w pełni sezonu, dla zachęcenia personelu sklepów do zwiększania obrotu zielonymi produktami — przyznaje się 10 fillerów premii od każdego sprzedanego kilograma.

Czy na węgierskim zielonym rynku nie odczuwano nigdy trudności? Istniały one do roku 1957, kiedy to władze zreorganizowały produkcję oraz handel owocami i warzywami na zasadach pełnej opłacalności. Między innymi zadbanie o to, aby nie było nadmiernych różnic pomiędzy ceną płaconą producentowi a ceną, którą uiszcza w sklepie konsument.

Mimo tych posunięć, czynniki oficjalne narzekają, iż spożycie owoców i warzyw jest na Węgrzech — w proporcji do spożycia mięsa, wciąż zbyt niskie*). A przecież Budapeszt pochłania każdej doby 1.600 ton zielonego towaru, przez lady tysiąca trzystu sklepów branżowych szeroka struga przepływa witaminowa masa do milionów kupujących. Detalistów jest na Węgrzech kilku: państwowe „Csemege” („Delikatesy” są tu czymś zbliżonym), miejski „Köszert” (coś a la MHD) z branżową dyrekcją dla handlu owocami i warzywami „Zöldseg — Gyümölcs Vállalat”, spółdzielcze sklepy wiejskie, małomiasteczkowe i przedmiejskie (na kształt naszych GS) no i nieliczni prywatni, dostrzegalni na przykład w starej, ale nader schludnej i przydatnej hali targowej przy budapeszteńskim placu Dymitrowa.

Skup owoców i warzyw jest natomiast skoncentrowany w jednym reku. Zajmuje się nim spółdzielczość, zrzeszona w Szövert — odpowiednik naszej Centrali Rolniczych Spółdzielni. Szövert ma wojewódzkie ogniwo Meszov (można je porównać do wojewódzkich związków gminnych spółdzielni), dysponujące samodzielną sekcją, zwaną w skrócie MEK. MEK właśnie, za pośrednictwem swych 2.700 punktów skupu, stu dziesięciu baz i trzynastu tysięcy ludzi — przejmując zieloną masę, pochodzącą, jeśli chodzi o warzywa, niemal w trzech czwartych ze spółdzielni produkcyjnych i w ponad dwadzieścia procentach z państwo-

*) 80 kg na głowę rocznie warzyw i 45 kg owoców (bez owoców południowych); plan na rok 1980 przewiduje podniesienie obu wskaźników do 130 kg. Niestety, krajowych wskaźników porównawczych przytoczyć nie mogę; nie ma ich w „Roczniku Statystycznym”.

Książka Jerzego Fonkowicza pod powyższym tytułem ukazała się właśnie w drugim wydaniu, autorowi przyniosła wysoko notowaną nagrodę tygodnika „Polityka” za rok 1963, zalecona została przez Ministerstwo Oświaty do bibliotek szkolnych i nauczycielskich. Nie jest to bynajmniej odosobniony wypadek ogromnego zainteresowania czytelnika polskiej literatury wojenno-partyzancką, która wyszła spod pióra wybitnych uczestników naszego ruchu podziemnego. Na krajowym rynku wydawniczym daje się zaobserwować od pewnego czasu prawdziwy renesans zarówno popytu jak i podaży wojennych pamiętników, partyzanckich wspomnień i literatury publicystycznej wojenno-historycznej. Najlepszym przykładem jest tutaj wielki sukces czytelnicy książki Mieczysława Moczara „Barwy walki”, która ukazała się już w trzech wydaniach, czy też ożywiona polemika, jaka wywiązała się wokół prac Zbigniewa Żaluskiego zwartych w tomikach „Przepustka do historii”, „Siedem polskich grzechów głównych” i „Finał”. Na pełny sukces czytelnicy zasługują również książki Fonkowicza. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie go uzyskała.

Wydane przez Wydawnictwo Min. Obrony Narodowej „Pierwsze pistolety” przypominają okupacyjne lata walki z hitlerowskim najeźdźcą. Autor, wczoraj jeszcze uczeń gimnazjum im. Lelewela w Warszawie, wkrótce po klęsce wrześniowej zostaje oficerem Sztabu Głównego Gwardii Ludowej i staje na czele specjalnej grupy bojowej. Sam jeszcze młodzieniec, opowiada Fonkowicz barwnie, ciekawie, z pasją nie tylko bojownika ale i doskonałego narratora, o warszawskich dziewczętach i chłopcach, dzielnych i jakże nam bliskich i drogich, dzieciach Warszawy, miasta, które jak oni, pozostało do kresu swoich okupacyjnych dni bohaterkie i niepokonane.

Dowodzona przez autora wspomnień grupa specjalna GL ma powierzone szczególnie ważne zadanie: zdobywa broń, demaskuje i zwalcza wrogich agentów i prowokatorów, podejmuje wiele trudnych i niebezpiecznych akcji mających na celu zdobycie środków do prowadzenia walki z hitlerowcami. Kilka rozdziałów tej 260-stronicowej książki pozostawia u czytelnika niezatarte wrażenie.

Należy do nich zaliczyć rozdział poświęcony przygotowaniu i wykonaniu nieudanego zamachu na wysokiego funkcjonariusza warszawskiego Gesta-

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 95 Poznań, 11 VIII 1963 Rok III

wych gospodarstw, a jeśli chodzi o owoce — w połowie od producentów uspołecznionych.

Naturalnie, dominująca rola tych ostatnich w ogólnych dostawach zielonego towaru — nie pozostaje bez wpływu na rozmiary produkcji, jej profil, zawieranie umów, lub przebieg skupu. Roczne plany działalności spółdzielczych, czy państwowych, gospodarstw rolnych, podlegające weryfikacji u władz terenowych — obejmują m. in. podstawowe gatunki warzyw (cebula, kapusta, pomidory, kartofle) i owoców (jabłka, winogrona, śliwki, morele, brzoskwinie, wiśnie).

Wszystko to może wydać się mało odkrywcze, po części znane i u nas. Sedno w sprawnym funkcjonowaniu całego tego mechanizmu. Działa on u naszych południowych przyjaciół nalezycie. Nie ma u nich klęsk urodzaju. Jakim cudem? Otóż obywateli tam absolutnie bez cudów. Napiszę o tym osobno.

Przykładam chusteczkę do nosa, krztusząc się od kaszlu. Gryzący zapach wdiera się głęboko w gardło. Wokół, wśród mętnej cieczy, wirują potężne młyny. W kadziach szara ciecz przybiera postać ołowianej piany. Urządzenia pracują rytmicznie i cicho. W wielkiej, przeszklonej hali nie ma hałasu. Nie ma też i ludzi. Od czasu do czasu przemknie jakiś człowiek, by na tablicy rozdzielczej nacisnąć odpowiedni guzik. To wszystko.

— Wysoka automatyzacja urządzeń nie wymaga zbyt wielu rąk — wyjaśnia oprowadzający inżynier. — Dlatego też robotnicy to tylko połowa naszej czterotysięcznej załogi; drugą stanowią personel inżynierski i techniczny.

Labiryntem szyn wjeżdżają wagony pełne szarego piachu. Wyładunek odbywa się również automatycznie. Przez naciśnięcie odpowiedniej dzwigni szary piasek sypie się jednocześnie ze wszystkich wagonów do tak zwanych bunkrów, skąd bezpośrednio dostaje się na młyny flotacyjne.

— Flotacja jest to proces uwolnienia minerału od zanieczyszczeń — mówi nasz przewodnik. — Dowożony tu miał po flotacji osiadać 80 proc. siarki. W procesie flotacyjnym siarka zmienia kolor: od ołowianego szarego, poprzez intensywną sepię, aż do żółtej. Istotnie, po drugiej stronie hali widzimy hałdy kanarkowego proszku — to czysta siarka.

— Ale skąd się siarkę bierze? Gdzie są kopalnie? — pyta ktoś z grupy przybyłych tu Włochów.

— Zaraz tam jedziemy!

Kombinat w Machowie, gdzie siarkę poddaje się flotacji i wyrabia z niej superfosfaty, stanowi część Tarnobrzeskich Zakładów Siarkowych. Kopalnia mieści się w oddalonym o kilka kilometrów Piasecznie. Tu kopalnie wyrwywają siarkę z podłoża i przenoszą na taśmy wyciągów, skąd ładuje się ją do wagonów.

po Horniga i opis przebiegu historycznego, pierwszego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej przy ul. Twardej w Warszawie w noc sylwestrową 1943/1944 roku. Niezapomniany pozostaje również rozdział kreślący piękną sylwetkę niemieckiego komunisty Karla, żołnierza Wehrmachtu, który czynnie współdziałał z polskimi towarzyszami z GL w szeregu akcji konspiracyjnych na terenie Warszawy. Karl, o którym autor wie, że pochodził z Chemnitz, ale nie zna jego nazwiska, utonął w Wiśle, ratując z jej nurtów polską łączniczkę „Wandę”. Nie sposób oczywiście w krótkiej recenzji omówić wszystkie rozdziały tej ciekawej, lekkiej w czytaniu, a jednocześnie pouczającej lektury. Trzeba podkreślić, że „Pierwsze pistolety” czyta się jednym tchem, z niesłabnącym zainteresowaniem. Miejscami akcji książki jest tak warta, iż nie sposób się od niej oderwać. Jest to tym godniejsze uwagi, że przecież autor nie włada piórem „zawodowo”. Mimo to konstrukcję opowiadań cechuje zwartość i duża przejrzystość, a ich język jest żywy i barwny. Przyjemność czytania zwiększa bardzo staranna i efektowna szata graficzna w wykonaniu Władysława Brykczynskiego, na którą składa się obwoluta, okładka i w tekście kolorowe inicjały. Liczne fotografie i szkice ułatwiają czytelnikowi poznanie niejako

osobiste bohaterów i uczestników postępowego nurtu krajowego ruchu oporu i umożliwiają dokładne zorientowanie się w przebiegu ważniejszych, relacjonowanych akcji GL.

Książka Jerzego Fonkowicza to cenna i ciekawa pozycja, popularyzująca i utrwalająca w narodowej pamięci kartę zmagania i walki lewicy polskiej o Polskę wolną, niepodległą i sprawiedliwą dla wszystkich swoich cór i synów. Przebiega z każdego jej zdania prawdziwy patriotyzm, ideałość, oddanie sprawie walki o lepsze jutro, które przyswiewały postępowe, młodzieży Polski podziemnej. Pisząc taką książkę Jerzy Fonkowicz miał pełne prawo wysunąć na jej motto piękne i głębokie słowa z „Dedykacji” Cypriana Kamila Norwida:

O, Ty młodości mój stolicu;
Z bruku twego rad bym mieć kamień,
Na którym krew i łza nie świecą.



Fot. — „Głos”

EWA BERBERYUSZ

SIARKA

— Dlaczego kombinat zbudowano tak daleko od kopalni?

— Bo tutaj siarka leży najbliżej, więc wydobycie jest najtańsze. A zło za nią ciągną się pod sam Machów, do dziwnie więc i tam. Pokłady pod Machowem są znacznie bogatsze, ale leżą głęboko. Ta kopalnia kosztuje miliard, a tamta będzie kosztowała cztery. To nie bagatel. Zarówno w kosztach jak i eksploatacji uczestniczyć będą kraje RWPG. Nasze złoże należy do najbogatszych na świecie.

Włosi z podziwu kręcą głowami. Coś mówią, żywo gestykulują.

— O co chodzi? — pytam.

Nie tak wyobrażali sobie kopalnię.

— W naszych kopalniach siarki na Sycylii wciąż giną ludzie. To karamaty. Co prawda są stare, leżą głęboko pod ziemią, ale do dziś nie zrobiono wiele, by zmniejszyć niebezpieczeństwo. Każdy zjazd do kopalni jest ryzykowaniem życia.

Wszystkie zabudowania kopalni leżą w otoczeniu leśnym. Drzewa wchłaniają siarkowy pył. A budynki to nie tylko biura administracji. To również łaźnie, natryski, kioski z saturatorami i mlekiem, jakie pracownicy otrzymują tu w ramach akcji socjalnej, a również sale wykładowe.

— Potrzebni nam ludzie wykwalifikowani, toteż każdy zdolniejszy robotnik ma u nas możliwość szkolenia i awansu.

— A jak kształtują się zarobki? — pada pytanie.

— Personel wykwalifikowany: od czterech do dziewięciu tysięcy miesięcznie.

— A co oni z tym robią?!

— Co?! Zaraz zobaczycie.

Niedaleko leży zapadłe do niedawna miasteczko, Tarnobrzeg. Siarka zmieniła jego oblicze. Tu właśnie znajduje się trzecia składowa część Zakładów: osiedle mieszkaniowe wraz z całym kompleksem sklepów, restauracji, klubów, kin. Wzdłuż nowych bloków — sznurki Octavii, Wartburgów, Syrenek...

Po południu jedziemy do pobliskiego zabytkowego Sandomierza. W kawiarni na Rynku przepełnionej. Wiele młodych. Przysiadam się do wolnego stolika.

— Pan tutejszy? — zagaduję sąsiada.

— Tak.

— A gdzie pan pracuje.

— W „Siarce”. Ale w tej chwili jestem tu tylko na wakacjach, bo Zakłady wysłały mnie na studia.

— Chemiczne, czy górnicze? — pytam.

— Ekonomiczne.

I takich potrzebuje rosnący tarno brzeski gigant. Siarka bowiem zmienia charakter tej ziemi, jej strukturę gospodarczą, architektoniczną i socjalną.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Wczasy starszych ludzi

Panią Anielę zna cała ulica. Zawsze zabiegana, spiesząca z zakupami, ale jednocześnie uśmiechnięta, serdeczna — pełna zainteresowania dla trosk swoich sąsiadów. Ostatnio posiwiała ogromnie, ale mimo to dalej jest ruchliwa jakby nie pamiętała, że dobiega do sześćdziesiątki. Od pięciu lat rencistka pomaga prowadzić dom swej najmłodszej córce. Roboty ma więc dalej pełne ręce. Choć w porównaniu z poprzednimi latami, kiedy musiała sama utrzymywać troje dzieci, wykształcić je i wychować ma teraz — jak mówi — święte życie. Nigdy tyle nie przesadyła w parku co dziś z wnuczkami. W czasie urlopu, kiedy cała rodzina pani Anieli wyjeżdża na wczasy, babcia chodzi sobie od mieszkania do mieszkania (syna i drugiej córki) i kwiatki podlewa, kurze ście ra, wietrzy. To są jej wczasy. Czasem tylko przy oglądaniu pocztówek przysyłanych jej z nad morza wzdycha sobie cicho: „mają ludzie teraz do brzo”. Ona nigdy w swoim życiu nie miała czasu ani środków na takie wczasy. Ale co tam. Dobrze, że chociaż dzieci mają lepiej. Są przecież takie dobre. Kochają ją.

Co roku gdzieś od czerwca zaczyna się w mieście — niezależnie od pogody — gorączka urlopowia. Dworzec wchłania tysiące ludzi obciążonych pakunkami, tysiące młodzieży, dzieci, jadących daleko w góry, nad morze i jeziora — na wakacje. Jeśli by jakiś bystry obserwator stanął w

Dokończenie na str. 2

Wczasy starszych ludzi

Dokończenie ze str. 1

W tym czasie w hallu dworca i sporządzał statystykę wyjeżdżających według wieku — w rubryce — ilość wyjeżdżających ponad lat 60, zanotowałyby nie miały promill.

Problem organizowania wypoczynku ludziom starszym nie od dziś pasjonuje działaczy społecznych, dostrzegających wyraźnie potrzebę postawienia tej sprawy na forum opinii społecznej i skoordynowania poczynania wszystkich zainteresowanych tą sprawą instytucji. Organizuje się bowiem tu i ówdzie wczasy dla ludzi starszych, w bardzo marginesowych zresztą rozmiarach, co przy skonsolidowaniu środków i wysiłków mogłoby przynieść znacznie lepsze rezultaty.

Instytucją, która najwięcej czyni dotychczas w tym względzie jest Zjednoczony Związek Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Na podstawie umowy z Funduszem Wczasów Pracowniczych Związek ten wysyła w maju, oraz od połowy września

przez październik — swoich członków do domów wczasowych. W Poznaniu na przeszło 20 tysięcy zrzeszonych w Związku co roku wyjeżdża w ten sposób około 1500 osób. Stawki opłat są stosunkowo niewysokie. Wynoszą przy rentach do 700 złotych — 100 zł, od 700 do 1000 zł — 130 zł, a ponad 1000 zł — 190 zł za 14 dni. Jednak i te wydawałoby się dość przystępne warunki skierowań nie cieszą się powszechnym poparciem. Wyjeżdżają na ogół co roku ci sami ludzie. Pozostałych — kilkanaście tysięcy emerytów i rencistów z wczasów tych nie korzysta. Przyczyny są różne. Nie zawsze człowiek starszy może przedsięwziąć dłuższą podróż. Wprawdzie Wojewódzkie Biuro Skierowań stara się wysyłać tych ludzi do punktów wczasowych położonych najbliżej Poznania, ale miejsc tych nie posiada przecież w nieograniczonej ilości. Oddalone miejscowości wczasowe czy lecznicze nie cieszą się popytem. Nie bez znaczenia dla rencistów jest konieczność wykupienia pełnego biletu. Wreszcie trzecim i najważniejszym

powodem jest stosunek do wczasów dla babci czy dziadka — najbliższej rodziny, która na ogół takiej potrzeby w ogóle nie dostrzega.

Prócz zrzeszonych w Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów jest jeszcze w Poznaniu kilkanaście tysięcy ludzi starszych nie mających uprawnień do rent czy emerytur. Opiekę bytową nad nimi sprawują wydziały zdrowia i opieki społecznej rad narodowych i Miejska Rada Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Ta ostatnia otwiera niedawno pierwszy w Polsce Klub Przyjaciół Starożytności i w jego ramach myśli również w przyszłości organizować różne formy wczasów dla ludzi starszych. Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Rady Narodowej m. Poznania organizuje w tym roku po raz pierwszy trzy turnusy 7-dniowych wczasów dla swych podopiecznych — pod Poznaniem.

Poczynania te cieszą. Pierwsze jaskółki nie stanowią jednak wiosny. Aby lato ludzi starszych nie ograniczało się do przesiadywania na ławkach parków i skwerów, trzeba, aby sprawa ta stała się przedmiotem stałej troski jakiejś instytucji, która potraktuje wszystkie dotychczasowe poczynania w tym względzie jako punkt wyjściowy do dalszej pracy. Wydaje się, że najbardziej powołana do tego będzie Komisja Starożytności Człowieka utworzona w bieżącym roku przy wszystkich oddziałach Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Sądzę należy, że mimo dużej dozy obojętności w stosunku do ludzi starszych, obserwowanej w naszym społeczeństwie, praca tej Komisji znajdzie poparcie wśród — na szczęście jeszcze wielu — ludzi, którym los starszego człowieka nie jest obojętny, i którzy miłośnicy do swoich najbliższych — starszków nie traktują zbyt wygodnie.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Z różnych dziedzin

Dużo dobrej klasyki. PIW wydał ostatni człon cyklu Emila Zoli „Trzy miasta”, a mianowicie „Parę”. Załamek to dzieło wielkiego naturalisty, demaskatora swojego czasu, udostępnione zostało polskiemu czytelnikowi. W PIW-ie także w ramach „Biblioteki Powszechnej” otrzymaliśmy Michała Lermontowa „Bohatera naszych czasów”, utwór, jak to sam autor zaznacza w polemicznej przedmowie, mający być „zbiorowym portretem wad całego naszego pokolenia w pełnym ich rozkwicie”. Sylwetka Pieczorina należy do najcenniejszych postaci w literaturze. Z obowiązku kronikarskiego dodam jeszcze, że to samo wydawnictwo wznowiło „Zmarłych wstanie” Lwa Tołstoja.

W „Czytelniku” również sporo nowości: Ukazało się wznowienie świetnej gawędzi lirycznej o Warszawie, Juliana Wołoszynyńskiego pt. „Cóż to za nieznajome miasto”,

I WASZKIEWICZ O SOBIE

W skwarne popołudnie w uliczce za sandomierską Katedrą spotykam Jarosława Iwaszkiewicza.

— Czy mogłabym z panem chwilę porozmawiać?

— Może lepiej nie teraz, bo jestem zły.

— ?

— Nie udało mi się zjeść obiadu.

Sandomierz nad Wisłą jest w okresie świąt miejscem wielu wycieczek indywidualnych i zbiorowych. Na rynku stoją autokary i prywatne samochody. Restauracje, Ratuszowa z ogródkiem jakby żywcem wyjętym z wiedeńskiego Grinzingu, i nowoczesna Rotunda gdzie kręcono film „Spotkanie w Bajce” — przepelnione.

Iwaszkiewicz zna miasto świetnie. Jego historię i teraźniejszość, jego uroki i potrzeby.

— Czy wynika to z tego, że jest pan połem Ziemi Sandomierskiej? — pytam.

— O nie. Moje związki z Sandomierzem są znacznie starsze. Pierwszy raz przyjechałem tu w roku 1935 i od razu polubiłem to miejsce. Odtąd wracałem tu stale co jakiś czas. Niedługo miałem małe mieszkanie za Katedrą i tam pisałem. Tam właśnie powstało „Lato w Nohant”. No i tak zrosłem się z Sandomierzem. Znam tu wszystkich, a i mnie znają. Pamiętam zdziwienie mojej małej wnuczki, kiedy raz z nią tu przyjechałem: „Ze też wszyscy się tu z dziadkiem witają! Fryzjer, sklepikarz, listonosz!”

— Czy Sandomierskie ze swoimi lessowymi jarami, bogatą urodzajną glebą przypomina panu rodzinną Ukrainę, której charakter, ów niepowtarzalny „smak ziemi” i ludzi z niej wyrosłych, przedstawił pan tak świetnie w swojej młodzieńczej powieści „Księżyc wschodzi”?

— Może... Rzeczywiście „Księżyc wschodzi” to moja „ukraińska” powieść. Ukazała się niebawem jej wznowienie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Jarosław Iwaszkiewicz, laureat tegorocznej nagrody państwowej za trzytomowe dzieło epickie „Sława i chwała” jest również mistrzem krótkich form.

— Zawsze powracam do „Brzeziny” — mówię. — To moje ulubione pańskie opowiadanie.

— Cieszę się, bo moje też. Choć nie nazwałbym „Brzeziny” opowiadaniem, mimo że ma zaledwie kilka stron. To mała powieść.

— Operując tak bogatą skalą form czy ma pan jakąś specjalną metodę pracy?

— Nie wiem, czy to można nazwać metodą, ale nigdy nie robię notatek. Wszystkie obserwacje noszę w sobie. Muszę też pisać ręcznie, bo na maszynie mam za szybkie tempo. Piszę jak zawodowa maszynistka. Zdanie wymyka mi się spod kontroli.

— Czy tu, w Sandomierzu, pracuje pan nad czymś?

— Nie. Przyjechałem na kilka dni, żeby wypocząć. Dom mam wprawdzie na wsi, w Stawiskach, pod Warszawą, ale przyjaciele nazywają go Domem Starca i Dzieci. Chowają się tam moje wnuki rodzone i wnuki przyszywane. Czasami więc trzeba się wyknąć, by zakosztować chwili spokoju.

— Dom Dzieci, zgoda, ale Starca? — mówię patrząc na wysoką sprężystą postać Iwaszkiewicza.

— A tak. Zbliżyłem się do siedemdziesiątki.

— Wobec tego, siedemdziesiątka to nie starość.

Rozmawiał: BER

Księga zapisana spławikiem

Czy może być coś piękniejszego niż zachód słońca nad wodą? Owszem może: wschód słońca.

Albo komu się chce, nawet na wczasach, wstawać jeszcze przed brzaskiem, aby zobaczyć to cudo, za każdym razem inne i za każdym razem piękne? No, komu? Oczywiście wędkarzowi.

Niby to idzie na ryby. Już wieczorem pakuje swoje haczyki, żyłki, kolowrotki, spławiki, wędziska, przynęty i zanęty. Jeszcze ciemno, a on już brnie przez ociekające rosą trawy i krzaki ku „swojemu” łowiisku.

Ku wodzie skradą się jak Indianin, bez szelustu rozkładają swoje materki, montują — i gdy pierwsza szarość nieba pozwala odróżnić kontury przybrzeżnych trzin, plump! po cichu zarzuca wędkę. Misterium się zaczęło.

Wbrew ogólnemu mniemaniu, łowienie ryb wcale nie jest zajęciem dla maniaków, siedzących bez ruchu i jak w hipnozie zagapionych w spławik. Na łowiisku ciągle jest coś do roboty.

Ryba nie bierze? Więc może przynęta podana za płytko lub za głęboko, może niedobrze założona, albo w ogóle na dziś nie odpowiednia? Trzeba wyciągnąć wędkę, obejrzeć haczyk, coś zmienić, coś spróbować inaczej. I tak co kilka czy kilkanaście minut, taka łagodna gimnastyka, tyle że nie pod muzykę i na tempa. Przeciwnie w najciszej ciszy, o łagodnych, płynnych ruchach, zginaniach, przysiadach. Nie poczujesz zmęczenia, aż dopiero w domu.

Oho, coś bierze. Spławik drga, tańczy. Chwila napięcia, chwytasz wędzisko... Przestał. Poszła. Więc znów trzeba sprawdzić co z przynętą, czy objedzona i jak. Po tym można poznać, co to było.

A w tak zwanym międzyczasie wciąż trzeba obserwować otoczenie. Wodę, zarośla przybrzeżne,

niebo. Żerowanie ptaków wodnych, rójki owadów, wędrówki narybku, układ dna, gatunki roślin wodnych. Oceniać pogodę, porównywać z wczorajszą, przewidywać najbliższą. Notować w pamięci każdy plusk, każde koło na wodzie. Notować i wnioskować, odkrywać wzajemne zależności zjawisk i wydarzeń, ułożyć sobie, jak to mówią, czytać wielką księgę przyrody. Wciąż próbować odpowiedzieć sobie na pytanie „dlaczego”? Jeżeli nie bierze, to dlaczego? Jeżeli się „taaka” zlapała, to dlaczego? Dlaczego nie bierze tu, a bierze pół metra dalej? Dlaczego rusza się ten liść? Dlaczego bierze na ciasto, a nie na robaka, dlaczego wczoraj było przeciwnie?

Ryba wcale nie jest głupia. Jest czujna i nieufna, i trzeba ją przechytrzyć. Ale nie tylko to. Jest także częścią niezwykle złożonego środowiska wodnego, znajdującego się stale pod działaniem różnych czynników: — temperatury, utlenienia, pogody, ba, nawet faz księżyca i pływów słonecznych. A także odczuwającego skutki działalności człowieka, jakże często szkodliwej. Pożnać to środowisko, to znaczy poznać rybę.

Prawdziwe wędkarstwo wymaga spostrzegawczości, zdolności wnioskowania, umiłowania przyrody, poczucia piękna. I rozwija te cechy.

Piękne światy i wschody słońca, poranne mgły i „brylanty rós”, to tylko rąbek możliwości przeżyć estetycznych i poznawczych, dostępnych dla każdego, kto umie patrzeć, myśleć i odczuwać. No, i kto wykupił kartę wędkarską. Ale wędka jest pretekstem...

A kto nad wodę idzie tylko po to, żeby wyciągnąć jak największą rybę, mięso, niech lepiej da spokój. Taniej i bez fatyg, będzie mu się kalkulować uccie kupiona puszonka byczków w sosie pomidorowym.

BETA

OSPA

Tak brzmi tytuł szkicu Zygmunta Szeli — w najnowszym numerze „Polityki”. Autor kreśli drogi zawleczenia groźnego, zjadającego się w tropikalnych dżunglach, wirusa do Wrocławia i ukazuje walkę z niebezpieczeństwem, które wybuchło w najbardziej gorącym okresie naszego lata. Front walki z zarazą objął całą służbę zdrowia, ale włączyły się doń również władze, milicja, całe społeczeństwo. Stworzono mur izolacyjny, który, miejmy nadzieję, przyczyni się do pokonania wirusa variola vera.

„Potyczka z wirusem — pisze Z. Szeli — trwa i trwać będzie jeszcze kilka tygodni. Zaczęła się dla nas niepomysłnie z powodu trudnego i późnego rozpoznania choroby, a także — braku we Wrocławiu choćby jednego wytrawnego znawcy variola vera. Dlatego w momencie, kiedy rozpoczęliśmy przeciwnie — już szła lawina, już zaczęła się reakcja łańcuchowa (...). Łańcuch reakcji został przerwany. Kosztownym olbrzymim wysiłkiem wielu setek ludzi: lekarzy, pielęgniarek, wszystkich pracowników służby zdrowia. Kosztownym wieloletnim wysiłkiem służby zdrowia, zwłaszcza MO, bez której pomocy lekarze nie zawsze mogli się uporać z niesfornymi i niedocenianymi niebezpieczeństwami pacjentami (...). Dla wszystkich tych ludzi variola vera zabrzała jak: front. I tak przyciąga, jak wymagają frontowe warunki...”

Z ŁÓDÓWKĄ DO RZEMIEŚNIKA

W tym samym numerze „Polityki” zwróciliśmy uwagę na felieton Michała Radgowskiego pt. „Dialog z rzemieślnikiem”. Autor poszedł z łódką (zepsutą) do rzemieślnika, żeby ją naprawił. Opisuje przebieg rozmowy, w której rzemieślnik między innymi mówi:

„Wyrzucić pan to lepiej i kup nową” co jest oczywiście potrzebne (rzemieślnikowi) do odpowiedniego skalkulowania ceny:

„Następnie sumuje różne tajemnicze kwoty, dodaje rezultaty mojego trzykrotnego przetargu pomnożone o stopień swego uporu

i nieprzejednania. Po tak precyzyjnym rachunku wymienia sumę horrendalną. Następnie traktat o ucisku podatkowym, o nieopłacalności jego pracy itp.”

Tacy rzemieślnicy też się trafiają.

Z PODRÓŻY PO ZIEMIACH ZACHODNICH

Tygodnik „Kultura” rozpoczął cykl reportaży (pt. „...A tak nam mało znani”) Roberta Jarockiego i Jana Rogali. Jest to plon parotygodniowej podróży po ziemiach zachodnich, zorganizowanej przez „Kulturę” wspólnie z Redakcją Młodzieżową Polskiego Radia. Wśród bohaterów reportaży znajdują się przedstawiciele niemal wszystkich środowisk i zawodów, ludzie, którzy tworzyli i tworzą nadal dzisiejsze oblicze tych ziem. Oto fragment z reportażu pt. „Historia na inną nutę”, którego główną postacią jest rolnik Julian Rudolf z Wrocławskiego — przewodniczący Zarządu Powiatowego Kolek Rolniczych, radny GRN, strażak... Oto, jak latem 1945 objął w posiadanie 14-hektarowe gospodarstwo.

„Na pniaku siedział uzbrojony od stóp do głów wojak — ni to wojak, ni cywil. Julian Rudolf podszedł do niego i nieśmiało zapytał, czy w tej wsi nie ma jakiegoś gospodarstwa do objęcia... Znalazłoby się — odpowiedział zdumiony strażnik. Rudolf potrzebował w torbie i zaświecił mu w oczy butelką samogonu. — Pół litra, nie mam więcej... — Niech tam, bratku! Weź sobie tę oto zagrodę. Właściciel, hitlerowiec, ukrył się gdzieś. Trochę tam ludzie już pozabawiali: ale bydelko jeszcze w oborze stoi”.

CYBERNETYKA I SZKOŁA

W kolejnym artykule z cyklu „Cybernetyka i szkoła” Mikołaj Kozakiewicz („Na odsiecz uczniowi”) pisze o pomocy, jaką może służyć cybernetyka w pracy ucznia.

„Uwolnienie dzięki metodom cybernetycznym pamięci ucznia od wielkiego i nieproduktywnego wysiłku, na jaki skazują obecne metody nauczania i przekazywanie informacji, posiadające wielkie konsekwencje dla pedagogów i dla pedagogiki w ogóle. Zbyttna koncentracja uwagi na sprawie „wkucia” i „zapamiętania”

skłania ucznia do formalistycznego traktowania nauki szkolnej (...). Ogrom wysiłku skierowanego na wykucie słówek i reguł gramatycznych języka obcego, hamuje twórczy proces władania językiem, aktywnego opanowywania mowy obcej jako środka komunikacji i wyrazu. Stąd też tak często uczniowie znający wszystkie słowa i reguły gramatyczne, nie umieją mówić w obcym języku, zaś uczniowie znający wszystkie daty i nazwiska nie rozumieją historii.”

Trudno nie zgodzić się z takim poglądem, ale zanim zaprzęgniemy urządzenia cybernetyczne do ulżenia doli uczniów, na pewno upłynie jeszcze sporo czasu.

TRAGEDIA SKOPJE

Tygodnik „Świat” zamieszcza dwie kolumny wstrząsających zdjęć, ukazujących tragedię głównego miasta Macedonii. Trudno opisać treść tych zdjęć. Ich autor, Dragos Simovic pisze:

„Zdjęcia, które Wam przesyłam — nie wymagają podpisów i komentarzy.”

W krótkiej korespondencji zamieszczonej obok zdjęć czytamy między innymi:

„Urzednik Mirko Antanosov całą noc był poza domem. Właśnie wracał i już miał wejść do swego domu, gdy ziemia się zatrzęsła. Pod gruzami zginęła jego żona i dwóch synów. Dziennikarz Bane Kovacz wracał z podróży służbowej z Czechosłowacji i cieszył się, że po długim niewidzeniu zobaczy znów żonę i dwoje dzieci. Pisali mu, że będą go oczekiwać na dworcu. Gdy zajeżdżał, dworzec już nie istniał, bliscy zginęli pod masą kamieni. Urzednik Branko Janovic z żoną i dwojgiem dzieci wybrał się na urlop; przejeżdżając przez Skopje, zatrzymali się w hotelu. Dalej nie pojechali. 16-letnia uczennica z Belgradu Miriana Milanovic przyjechała do Skopje zaproszona przez przyjaciółkę. Szała od dworca, kiedy zaczęło się trzęsienie. Gdy dotarła do miejsca, gdzie mieszkała przyjaciółka — było to już tylko miejsce, a przyjaciółka nie żyła.”

W Skopje przestały istnieć domy, fabryki, szkoły i uniwersytety. Dla ludności i dla miasta idzie pomoc z całego świata. Ludzie wierzą, że przy tej pomocy odbudują swoje miasto.

LEKTOR